

Roman Zimand

"O potrzebie historii literatury.
Szkice polonistyczne z lat 1944-1967",
Kazimierz Wyka, indeks zestawiała
Anna Lisowska, Warszawa 1969,
Państwowy Instytut Wydawniczy,
Biblioteka Studiów Literackich... :
[recenzja]

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce
literatury polskiej 61/4, 316-330

1970

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

nie deformację obrazu. W tym wypadku nie ulega chyba wątpliwości, iż recenzent uważa *U podstaw Awangardy* za książkę cenną. Wprowadza ona przede wszystkim dużo ład w naszą wiedzę o Peiperze i dużo informacji, które są nie tylko materiałami do kalendarium i bibliografii, ale mają wagę bardziej zasadniczą: są niezbędne do tego, by ukształtowało się nasze rozumienie pisarza.

Jan Józef Lipski

Kazimierz Wyka, *O POTRZEBIE HISTORII LITERATURY. SZKICE POLONISTYCZNE Z LAT 1944—1967*. (Indeks zestawiała Anna Lisowska). (Warszawa 1969). Państwowy Instytut Wydawniczy, ss. 362, 2 nlb. „Biblioteka Studiów Literackich”. Pod redakcją Henryka Markiewicza.

Najnowsza książka Wyki przez tytuł główny określa dominujący przedmiot zainteresowań, w podtytule zaś podaje ważną informację dotyczącą poetyki zebranych tekstów oraz ramowe daty ich powstania. Idąc śladem autora tomu, który lubi mawiać, iż w tytule *Śluby panięskie, czyli magnetyzm serca* ważna jest całość, można to samo powiedzieć o tytule i podtytule omawianej książki. W pewnym sensie może nawet informacja zawarta w podtytule, jako ogólniejsza, jest i dokładniejsza. Albowiem *Szkie polonistyczne z lat 1944—1967* nie wszystkie traktują o potrzebie historii literatury i w ogóle nie są monotematyczne. Przeciwnie, cechuje je rozległość poruszanej problematyki: od teorii literatury poczynając, na bardzo osobistym zamyśleniu się autora nad własną profesją kończąc.

W przypadku tak skonstruowanego zbioru recenzent może postąpić w trojaki sposób: złożyć sprawozdanie z kolejnych pozycji tomu; podjąć próbę konstrukcji osobowości autora na przestrzeni dwudziestu trzech (z przerwą) lat; skupić się na problematyce kilku wybranych szkiców, pozostałe pomijając milczeniem. Sposób pierwszy jest najbezpieczniejszy. Drugi może być kuszący dla kogoś przekonanego o dużym stopniu prawdopodobieństwa takiej intelektualnej konstrukcji jak osobowość autora. Pozostaje sposób trzeci. Jego wada zasadnicza: arbitralność wyboru, równoważona jest — jak sądzę — przez możliwość głębszego rozważenia wybranych kwestii.

Takie wybiórcze potraktowanie zadań recenzenta pozwala rozpocząć od spraw, które dla samego Wyki wydają się szczególnie ważne: od problemów nauczania literatury i języka oraz nauczania nauczania literatury i języka.

1

Spośród dwunastu szkiców składających się na książkę *O potrzebie historii literatury* — pięć dotyczy bezpośrednio lub niemal bezpośrednio owej sprawy nauczania i nauczania nauczania, czyli nauki języka i literatury polskiej w szkole średniej oraz na uniwersyteckich studiach polonistycznych. Są to: *Polonistyka w świetle szkoły, uczelni i nauki* (1961), *Nauczyciel uniwersytecki a badacz w instytucie naukowym* (1965), *O potrzebie historii literatury* (1965), *Węgiel mojego zawodu* (1967) oraz *Nauka o literaturze, literatura i przyszłość* (1967). Mimo zrozumiałe różnice między nimi — potraktowane tu zostaną owe eseje jako jeden tekst: temat z wariacjami¹. Lub inaczej — wariacje na temat miejsca literatury,

¹ Oto przykład funkcjonowania „formy wariacyjnej” w tak odczytanym tekście Wyki: „Radio jest pustą i hałasującą skrzynką, telewizor skrzeczącym i przygasa-

wiedzy o literaturze, nauczania literatury w społeczeństwie posiadającym określone dziedzictwo kulturowe, w społeczeństwie, które przeszło, a właściwie przechodzi pewien konkretny rodzaj szybkiej industrializacji. A nadto w społeczeństwie, które charakteryzuje się specyficznym uwarstwieniem społecznym, znanym typem władzy politycznej i dającą się pomyśleć — w oparciu o istniejące doświadczenia — najbliższą przyszłością — w społeczeństwie socjalistycznym.

Jeśli więc owe pięć szkiców czytać jako jeden tekst, to stanowisko Wyki można by przedstawić (włączając w ową prezentację element polemiki) w taki oto sposób.

Teza pierwsza, którą nazwijmy tezą o zasadniczej kulturowej jedności literatury i nauki o literaturze — w postaci zwięzłej, niemal aforystycznej: „Pozycja nauki o literaturze zależna jest od pozycji samej literatury w danym społeczeństwie” (s. 344). Istnieje kilka możliwości interpretacji tego aforyzmu. Najpoprawniejsza powinna chyba wyglądać mniej więcej tak:

— jedność owa realizuje się w ciągu długich okresów historycznych, tak że aktualnie dla współczesników procesu może być nieuchwytna (analogicznie: celnej obserwacji na temat podobieństw niektórych postaw Chmielowskiego i Tarnowskiego (s. 345) trudno byłoby oczekiwać od ludzi z roku — powiedzmy — 1890);

— wspomniana jedność realizuje się przez system opozycji czy — jak kto woli — jedność przeciwieństw;

— pozycja literatury w społeczeństwie nie jest nigdy konstanssem, lecz ciągle „staje się”, i to w przekroju zarówno czasowym jak społecznym;

— wreszcie, żadne społeczeństwo narodowe nie funkcjonuje w izolacji (Wyce jako badaczowi całkowicie obce jest takie rozumienie-postulat „swojskości” czy „rdzenności”), a stąd na wyobrażenia danego społeczeństwa o literaturze wpływ ma nie tylko rodzima twórczość, aktualna i odziedziczona, lecz kontakty i tradycje kontaktów z piśmiennictwem innych narodów oraz — trzeba to odróżnić — mniemania o tym piśmiennictwie.

Tezę drugą można nazwać tezą o szczególnie doniosłych funkcjach, które powinno pełnić nauczanie literatury w naszym społeczeństwie. „[...] w szkole dzisiejszej pozycja polonistyki jest funkcjonalnie ważniejsza niż przed rokiem 1939 i dawniej” (s. 267; analogicznie na s. 337—338).

Ponieważ w tym wykładzie poglądów Wyki analizowana teza sformułowana została w trybie postulatów („powinno”), zaś cytata dosłowny brzmi: „jest funkcjonalnie ważniejsza”, przeto wypada zacząć od tej kwestii. Otóż teza, że pozycja polonistyki „jest funkcjonalnie ważniejsza niż [...] dawniej”, znaczyć może, iż:

— jest ważniejsza z uwagi na potrzeby społeczne;

— jest ważniejsza, albowiem już *de facto* te funkcje w procesie nauczania pełni;

— jest ważniejsza z uwagi na to, że zachodzą obie wymienione przed chwilą okoliczności.

Z całokształtu rozważań Wyki wynika niedwuznacznie, że chodzi mu o po-

jącem pudełkiem bez Homera, Sokratesa, Szekspira, Mickiewicza, Fredry, Tołstoja, Czechowa, Wyspiańskiego, bez dorobku minionego i bez dorobku, który współcześnie z nimi powstawać będzie” (s. 273—274); „bez literatury (podobnie jak bez muzyki) telewizja i radio przypominałoby orkiestrę bez pulpitów i nut. Dużo ciekawych i wyszukanych instrumentów, nie wiadomo, co z nimi począć” (s. 349). Zdecydowany niedruh telewizji, wołę sformułowanie pierwsze, ale to grymasy, które właściwie nie przystoją obiektywnemu recenzentowi.

trzeby społeczne, że teza jego ma charakter postulatu. Jakie to więc potrzeby społeczne, lub inaczej: jaki stan naszego społeczeństwa powoduje, iż wzrosła rola, którą ma do odegrania nauczanie języka i dziejów literatury polskiej.

Jednakże udzielić pełnej odpowiedzi na to pytanie — znaczyłoby przeprowadzić historyczno-socjologiczną analizę ostatniego ćwierćwiecza naszych dziejów. Toteż nie czyni tego Wyka, ani tym bardziej nie może tego zrobić recenzent jego książki. Autor *O potrzebie historii literatury* kładzie nacisk na cztery składniki sytuacji powodującej wzrost doniosłości polonistyki. Są to:

- zmiana struktury społecznej kraju;
- zmiana programu nauczania, którą cechuje m. in. zwężenie ilości i zakresu przedmiotów humanistycznych;
- zasadniczy wzrost zakresu działania radia i filmu, pojawienie się telewizji;
- ahisteryczne tendencje cywilizacji współczesnej, opinie, że „przeszłość się nie liczy”, postawy powodujące, iż polonista winien być „stróżem tradycji” (s. 312). Wyka podkreśla przy tym, że w jego rozumieniu „stróż tradycji” znaczy co innego niż tradycjonalista. Może warto tu dodać, że wspomniane przez niego postawy ahisteryczne nie istnieją samodzielnie. Z reguły aktywizują one w danym społeczeństwie kołtuński tradycjonalizm. Nadtę — obie postawy mogą ujawniać się w zachowaniach jednej i tej samej osoby.

Rozległość powiazań tezy badacza o powinnościach polonistyki ujmowanych z uwagi na stan i potrzeby społeczności naszej każe ograniczyć się do jej zwięzłego zreferowania. Wyjawienie bowiem refleksji, które przywodzi ona na myśl — np. dotyczących pozycji i prestiżu nauczyciela w społeczeństwie socjalistycznym — żadną miarą nie mogłoby znaleźć miejsca w tej oto recenzji.

Trzecia teza tej grupy studiów mówi o postępującym rozziwieniu między rozwojem badań nad literaturą (dodajmy: i językiem) a potrzebami i możliwościami dydaktyki w szkole średniej i na uniwersytecie.

Á propos u naukowienia dyscypliny polonistycznej czytamy: „owe przemiany i rozwój instrumentów badawczych kierują się niejako do wewnątrz polonistyki jako nauki, co najwyżej dotyczą jej styku z językoznawstwem. Nie tyle zaś kierują się tam, gdzie oczekiwanie społeczne i zamówienie szkolne pragnęłyby ujrzyć polonistykę [...]” (s. 271). Tymczasem zaś w warunkach masowości wyższych studiów, „by sprostać wymaganiom masowego kształcenia specjalistów, szkoły wyższe muszą być przede wszystkim szkołami, a dopiero potem, na drugim miejscu — ośrodkami badań” (s. 282).

I wreszcie: „rozszczerzenie i wzajemne oddalenie” (s. 283) nauczycieli szkoły wyższej i badaczy w instytutach naukowych. Wyka przy tym nader trafnie wskazuje, że szkodliwe jest nie tylko przeciążenie nauczycieli uniwersyteckich dydaktyką oraz funkcjami administracyjnymi; równie niepożądane jest oderwanie badaczy w instytutach od wszelkiej dydaktyki.

Ten niewesoły opis sytuacji wydaje się prawdziwy. Chciałoby się dodać parę uwag, już to w charakterze kontynuacji niektórych wątków myślowych, już to na prawach polemiki,

Przede wszystkim więc — sędzę, iż rozziwienie między wewnętrznym rozwojem nauki o literaturze a potrzebami dydaktyki uniwersyteckiej (nie mówiąc już o szkole średniej) dotyczy nie tylko polonistyki i nie tylko Polski. Analogiczne zjawiska zaobserwować można w innych krajach i w innych dyscyplinach, np. na terenie historii. „Choroba” zaczęła się dość dawno, bo od tzw. antypozytywistycznego przełomu. Pozytywizm był tym kierunkiem, któremu udało się — też chyba nie od razu — wypracować ową pożądaną jednię tego, co uważano za badania

naukowe, z tym, czego wymagano od uniwersyteckiego nauczyciela. Taine czy u nas Tarnowski nauczali w zasadzie tego, czym zajmowali się w swoich gabinetach jako uczeni. Idąc dalej można powiedzieć, że Tarnowski przekazywał bez zmian swoim słuchaczom to samo, nad czym jako badacz myślał zajmując się Fredrą, im zaś wydawało się, że toż z kolei przekazują bez zmian, lub wyłącznie ze zmianami ilościowymi, młodzieży gimnazjalnej w Brzeżanach czy Wadowicach. Ale już w przypadku Kleinera sprawa nie była tak prosta. Między tym, nad czym pracował w swoim gabinecie, w „profesorskim” domu przy Supińskiego, a tym, co docierało do uczniów międzywojennego liceum, była różnica jakościowa. To już były dwa różne rodzaje wiedzy o literaturze. Że proces uległ pogłębieniu, dowodzić nie trzeba. Dodać natomiast może warto, iż sytuacja nauki i nauczania wyznaczona przez masowy charakter szkolnictwa wyższego oraz lawinowy rozwój nauki „jako takiej” obejmuje nie tylko polonistykę czy humanistykę, lecz dotyczy przede wszystkim nauk przyrodniczych i techniki.

Teoretycznie rzecz biorąc, z powyższej sytuacji można próbować wyjść w trojaki sposób.

1. Podział, o jakim mowa, zostanie usankcjonowany. Przy czym obejmie on całość kształtowania, a więc nie tylko polonistykę, nie tylko uniwersytety, ale wszystkie wyższe uczelnie. Badacze świadomie, a społeczeństwo półświadomie przyjmują za normalny ten stan rzeczy, w którym nauka o literaturze (a ściślej: wszelka nauka rozumiana jako działalność autoteliczna) uznana zostanie za odrębny przedmiot, zespół czynności i ich rezultaty, przedmiot nie muszący mieć nawet „unii personalnej” z nauczaniem literatury i języka (a *respective* innych przedmiotów) w szkołach wyższych i w konsekwencji w liceach. Można bez trudu przewidzieć, że jednym z rezultatów takiego podziału będzie zmiana trzystopniowości nauczania (szkoła podstawowa, średnia, wyższa) na czterostopniowość (tzn. plus studia podyplomowe). Szkoła wyższa produkowałaby techników oświaty, kultury, techniki, rolnictwa *etc.* oraz byłaby szczeblem nieodzownym (i to raczej administracyjnie) na drodze do progu, za którym zaczyna się nauka.

2. Samoistnie rozwijająca się wiedza o danym przedmiocie, w szczególności o literaturze, języku, historii, zostanie zlikwidowana, jako niepotrzebna.

3. Rozpocznie się w miarę świadomie organizowany proces przekształcania programu studiów wyższych oraz wykładni, sposobu udostępniania, artykulacji problemów naukowych. Proces, co do którego z góry trzeba założyć, iż nosić będzie charakter konfliktowy i będzie czymś praktycznie — nieskończonym. Cel tego procesu to osiągnięcie, a raczej optymalne zbliżenie się do takiego stanu, w którym nauka o literaturze (bo to nas interesuje głównie) wykształci w sobie zdolność bycia przekazywaną nie tylko w obrębie grona fachowców, a szkoła wyższa i średnia odpowiednio zmienia program.

Powyższe trzy możliwości zaprezentowane były w płaszczyźnie czysto spekulatywnej. Każdy jednak może zauważyć, co następuje:

1. Praktyka naszego życia naukowo-uniwersyteckiego najbliższa jest rozwiązaniu pierwszemu. Z tą różnicą, że nie ma mowy o usankcjonowaniu, o nazwaniu po imieniu istniejącego stanu rzeczy. W słowach wszystko wygląda tak, jak gdyby wszystkie zmiany w życiu nauki i szkoły wyższej, które zaszły w ostatnim ćwierćwieczu, były zmianami na lepsze. W tej sytuacji głos Wyki — jeden z nielicznych sygnalizujących niebezpieczeństwa strukturalne — jest szczególnie cenny. Sama zaś rozbieżność między słowem a stanem rzeczywistym pogłębia niebezpieczeństwa, o których mowa. W każdym razie jeśli przyjąć rozwiązanie pierwsze (a w pewnym momencie może się okazać, że jest ono już jedynym) — lepiej

uczynić to świadomie, nazywając rzecz po imieniu, niż udawać, że jest inaczej, niż jest.

2. Idea „zamknięcia” nauki wydaje się na pozór tak oczywiście bzdurna, że trudno sobie wyobrazić, by mogła mieć pod koniec XX w. choćby jednego jawnego zwolennika. Czy jednak nie rozlegają się u nas głosy, których sens faktyczny sprowadza się właśnie do tego? Czy nie ma tendencji do przyjęcia poziomu liceum za górną i nieprzekraczalną granicę problemów, których formułowanie byłoby dozwolone takim naukom, jak historia lub historia literatury? Czy nie występują tendencje do doraźnie instrumentalnego traktowania nauki? I jaki byłby rezultat konsekwentnego urzeczywistnienia tych tendencji? Oto pytania, które — rozważając problemy szkolnictwa i nauki — trzeba sobie zadać. Choćby po to, by nie mieć wyrzutów sumienia: niechlujstwo myślowe jest wszak grzechem.

3. Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że społecznie najkorzystniejsze byłoby rozwiązanie trzecie. Wyka pisze: „Rozziew [...] można zlikwidować tylko postulując, ażeby rozwój dyscypliny stworzył odpowiednie środki nowoczesnej i naukowej odpowiedzi na postulaty społecznie [...] uzasadnione” (s. 271). Równie ponad wszelką wątpliwość pewne jest, że byłoby to rozwiązanie najtrudniejsze do realizacji.

O jednej z takich trudności na gruncie polonistyki mówi Wyka zastanawiając się nad zadaniami nauczania języka i dziejów literatury w szkole:

„[...] nauczanie literatury ojczystej i języka powinno w szkole: 1. stworzyć zespół postaw społecznych i idei kierunkowych; 2. wdrożyć w sposób trwały w życie języka ojczystego jako instrumentu porozumienia społecznego; 3. przynieść orientację ogólną w kulturze przeszłości oraz w zjawiskach i technikach kulturowych teraźniejszości; 4. dać znajomość dzieła literackiego jako odrębnego tworu sztuki; 5. nauczyć związków pomiędzy literaturą a całością procesu historycznego. Znów do pewnych dogodnych skrótów sprowadzając tych pięć celów, możemy je oznaczyć w sposób następujący: 1. postawa; 2. język; 3. kultura; 4. dzieło; 5. historia (w literaturze)” (s. 265). Akcentuje przy tym Wyka dyskusyjny i jak najbardziej osobisty charakter tych propozycji.

Chciałbym w tym punkcie przerwać tok wywodów, by w jednej kwestii wyrazić pogląd inny niż proponowany przez autora. Zmieniłbym kolejność owych zadań na taką: język; kultura; historia (w literaturze); dzieło; postawa. Umotywować zaś chciałbym przede wszystkim propozycję zmian dotyczącą pozycji pierwszej i ostatniej. Otóż „wdrożenie w sposób trwały w życie języka ojczystego jako instrumentu porozumienia społecznego” wydaje mi się podstawą, bez której pozostałych zadań polonistyki w szkole, a i wszelkich zadań szkoły — nie można porządnie realizować.

Przywiązywałbym do tej kwestii wagę szczególną nie tylko dlatego, że bez opanowania, przynajmniej w jakimś stopniu, bogactwa języka ojczystego trudno mówić o kulturze w ogóle. Chodzi mi po prostu o fakt, iż szkoła nasza spełnia określone cytatem swe zadania w sposób wysoce niezadowolający. Grubo ponad połowa początkujących studentów wszystkich kierunków nie umie poprawnie i jasno się wypowiedzieć. Dowolny asystent prowadzący zajęcia na dowolnym pierwszym roku humanistyki stwierdzi, iż większość studentów nie potrafi poprawnie streścić dwu przeczytanych stronic tekstu, niezależnie od tego, czy jest to fragment polskiego przekładu Herodota, czy bajka Fredry. Dodać tu jeszcze należy, że przedwojenne liceum wypełniało zadania w tym zakresie, mając do pomocy minimum wiedzy logicznej, przyswajanej w ramach propedeutyki filozofii. Dziś — w warunkach niesłychanego rozwoju logiki, językoznawstwa, semantyki — logika jest przedmiotem uniwersyteckim, którego naucza się w ramach tzw. zajęć usługowych.

Zaś specjalistów — ilu? — kształcimy na studiach doktoranckich. Wygląda więc, że na nowych Leśniewskich, Ajdukiewiczów i Tarskich poczekamy do XXI stulecia. Ostatecznie trzydzieści lat to nie tak wiele...

Propozycja przeniesienia zadania polegającego na „stworzeniu zespołu postaw społecznych i idei kierunkowych” na miejsce ostatnie tłumaczy się prosto: kształtowanie się tych postaw powinno być rezultatem całego procesu nauczania, m. in. nauczania języka i literatury ojczystej. By ukształtować czyjąkolwiek postawę w ten sposób, żeby temu komuś bliska się stała tradycja Żeromskiego, trzeba go najpierw zaznajomić z niektórymi przynajmniej dziełami tego pisarza.

Teraz wrócić można do porzuconej kwestii rozziewu między unaukowieniem wiedzy o literaturze a wymogami nauczania literatury.

Gdybyśmy chcieli ów rozziew zlikwidować całkowicie (co wydaje się niemożliwe i niepożądane) lub znacznie zmniejszyć (co na pewno jest pożądane i arcytrudne do osiągnięcia), musielibyśmy m. in. poradzić sobie z problemem sformułowanym przez Wykę w różnych wariantach, np. w postaci tezy głoszącej, iż „społeczny odbiorca” nie oczekuje od badaczy literatury „wiedzy o prądach i prawach sztuki [...], lecz spodziewa się pouczeń i wyjaśnień w dwu przedmiotach, które w obrębie literatury są dlań najważniejsze: dzieło i pisarz; pisarz i dzieło” (s. 351). Tu dokonuje Kazimierz Wyka bardzo ważnego zastrzeżenia: sytuacja ta „niektórym profesorom historii literatury polskiej dyktuje [...] demagogiczno-popularne akcenty w postaci nawoływania do prostoty instrumentów badawczych, do pokory, do wszystkich wątpliwych cnót rezygnacji intelektualnej. Nawoływania równie bezpodne, jak gdyby dla uniknięcia zbyt dużej ilości wypadków drogowych zalecać przejście na dylizansę w miejsce samochodów” (s. 271).

Formułując program wyjścia z istniejącej sytuacji, powiada Wyka:

„1. Nauka (wiedza) o literaturze główny swój cel upatrywać winna w wyjaśnieniu zjawisk i dzieł literackich jako znaków kultury.

„2. Na inną kategorię tych znaków pada nacisk, kiedy badacz literacki naukowo myśli o swym zadaniu (proces historycznoliteracki, prawidła i zjawiska ogólne), na inną kładzie nacisk opinia społeczna (pisarz, dzieło).

„3. Należy się liczyć jako ze zjawiskiem społecznym z takim typem zamówienia naukowego, szkoła bowiem i nauczanie literatury stawiają podobne dezyderaty: błędem jest uczyć nastolatków procesów i programów, należy ich uczyć dzieł i pisarzy” (s. 351).

Zgadając się z generalną diagnozą autora *Szkiców polonistycznych z lat 1944—1967*, chciałbym odnotować kilka uwag po części polemicznych. Jest to polemika, by tak rzec, wewnątrz tej samej czy podobnej diagnozy społecznej.

Otóż po pierwsze, tendencje współczesnej polonistyki jawią się jako „wewnętrzne” w stosunku do wymogów odbiorcy wychowanego na Chrzanowskim. Nie są natomiast „wewnętrzne” w stosunku do generalnych tendencji współczesnej humanistyki. Ewentualny zakaz tych tendencji w ramach polonistyki — gdyby się go udało zrealizować — prowadziłyby do tak absurdalnej sytuacji, jak istnienie wiedzy o literaturze uprawianej w „paradygmacie”, w „epistemé” Chlebowskiego obok nauki o języku uprawianej w „paradygmacie”, w „epistemé” Chomsky’ego. Warto tu może dodać, choć jest to przecież oczywiste, że owa dawna, „dobra” polonistyka, a więc np. działalność Chmielowskiego, była w swoim czasie w tym samym mniej więcej stopniu zgodna z całokształtem ówczesnej humanistyki, co dzisiejsze „złe” kierunki tej nauki z humanistyką naszych czasów.

Po drugie, nie jestem pewien, czy tendencje współczesnej polonistyki dają się scharakteryzować jako preferujące badania nad „procesem historycznoliterac-

kim, prawidłami i zjawiskami ogólnymi". Sądzić należy raczej, że mamy do czynienia z pracami zmierzającymi do realizacji dwóch modeli wiedzy o literaturze: a) dzieło literackie jako zespół idei i literatura jako część historii idei; b) dzieło jako swoista struktura wypowiedzi językowej, literatura jako następstwo gatunkowych reguł gry. Rzecz jasna, jest to prezentacja niesłychanie upraszczająca, nie wyczerpująca listy aktualnych postaw badawczych w polonistyce.

Ten fragment polemiki z Wyką może mieć znaczenie praktyczne przy przyjęciu dwóch „jeżeli”. Otóż: 1) jeżeli przyjmujemy, że powyższy nader skrótowy opis tendencji dominujących we współczesnej polonistyce odpowiada rzeczywistej sytuacji; 2) jeżeli nadto zgodzimy się z tezą Wyki, że nastolatków trzeba uczyć „dzieł i pisarzy” — to powiedzieć trzeba, że w oparciu o zalecenia, „reguły gry” wymienionych nurtów badawczych, można na pewno uczyć „dzieł” oraz że nieco trudniej byłoby uczyć — „pisarzy”. Ta trudność pojawi się jednak w ramach każdej współczesnej szkoły interpretacyjnej, gdyż przedmiot badań „pisarz” od dawna przeniósł się (czy też został przeniesiony) i na teren różnie uprawianej, lecz odrębnej dziedziny wiedzy, jaką jest biografistyka.

Można więc na gruncie propozycji Wyki: „uczyć dzieł i pisarzy”, wprowadzić do szkoły średniej współczesną polonistykę. W każdym razie nie powinno to być — merytorycznie rzecz biorąc — trudniejsze od wprowadzenia teorii mnogości do programu matematyki dla niższych klas szkół podstawowych, co się właśnie zaczyna u nas realizować. Jest to oczywiście hipoteza dyskusyjna. Społeczna cenność omawianych szkiców Wyki polega m. in. na tym, że zmuszają do tego rodzaju przemyśleń. Uporczywie powracając do podstawowych problemów nauczania literatury i języka, trafnie podsuwa on czytelnikowi pod rozwagę zagadnienia częstokroć nie dostrzegane przez praktyków i administratorów.

Wyraziłem na początku tej recenzji pewną nieufność wobec stopnia prawdopodobieństwa konstrukcji intelektualnych określanych mianem „osobowość autora”. By nie dać powodów do posądzeń o radykalny sceptycyzm, choćby w tym tylko zakresie, pozwolę sobie tę część sprawozdania z lektury *O potrzebie historii literatury* zakończyć uwagą należącą właśnie do dziedziny refleksji nad osobowością.

Czytelnicy i admiratorzy pisarstwa Wyki znają: Wykę — historyka literatury, Wykę — krytyka poezji i prozy współczesnej, Wykę — wnikliwego analityka czasów okupacji, Wykę — redaktora najlepszego miesięcznika w powojennej Polsce, Wykę — eseistę, miłośnika sztuki filmowej, cudownego miasta Brugge, włoskich kolorystów i ziemi krzeszowickiej... *Szkice polonistyczne z lat 1944—1967* ujawniają jeszcze jedną stronę tej niezwyklej osobowości: Nauczyciela, człowieka głęboko przejętego zasadniczą problematyką swego zawodu. Jest to pasja szlachetna i mądrze przekazana czytelnikowi.

2

O ile decyzja omówienia na pierwszym miejscu tego, co odzwierciedla troski i refleksje Wyki-Nauczyciela, wydawała się piszącemu tę recenzję czymś oczywistym, o tyle dalsze wybory stanowią istotną trudność.

Skoro pięć szkiców składających się na pewną całość w ramach tomu traktowano tu właśnie jako całość, temat z wariacjami — wypada z kolei poświęcić uwagę pojedynczym studiom. Pozwalam sobie wybrać *Romantyczną nobilitację powieści* (1946)² oraz *Czas powieściowy* (1944). Taki wybór dyktuje zasada zupełnie

² Artykuł ten jest rozszerzoną wersją wykładu habilitacyjnego Wyki. Proble-

prosta: po pierwsze, tematyka ich najbliższa jest zainteresowaniom i kompetencjom recenzenta, po drugie, jeden z tych esejów będzie przedmiotem polemiki, drugi zaś przedmiotem bezwarunkowego *éloge*.

Zacznijmy więc od polemiki, tj. od studium *Romantyczna nobilitacja powieści*.

„Czytelnik lub krytyk roku 1900 zapytany, jaki jest górujący gatunek literacki, odpowie bez wahania, że powieść. Czytelnik roku 1800, o to samo zapytany, będzie zapewne wymieniał różne gatunki literackie, ale powieści tego miejsca nie przyzna” (s. 148; podkreślenia R. Z.). Tak zaczyna swój esej Wyka.

Wymyślmy teraz inny cytat, i wymyślmy go — by nie było nieporozumień — w innej stylistyce.

...Gdyby ktoś w Europie około r. 1800 zapytał oświeconego czelęka, jakież to dzieła piśmiennictwa doby najnowszej z największym czytań ukontentowaniem, niechybnie by usłyszał, że *Nową Heloizę* obywatela Russo i *Cierpienia młodego Wertera* Niemca Goethego. Stąd by i wniosek można wyciągnąć, że się wielce epoka owa w romansach ekliwych rozmiłowała...

Wydawałoby się, że przytoczony cytat z Wyki oraz cytat zmyślony są wypowiedziami na ten sam temat. Byłoby to mniemanie błędne. Cytat z Wyki odnosi się do miejsca, jakie zajmuje pewien gatunek literacki w hierarchii społecznych wyobrażeń o literaturze. Cytat zmyślony dotyczy faktycznej poczytności określonych utworów. Gdyby sobie wyobrazić ankietę socjologiczną dla roku, powiedzmy, 1817, pytanie z cytatu zmyślonego byłoby kontrolne w stosunku do pytania z cytatu prawdziwego.

Myślę, że w szkicu *Romantyczna nobilitacja powieści* sprzeciw mój budzi przede wszystkim brak wyraźnego rozgraniczenia dwóch dziedzin: obowiązującej hierarchii gatunków literackich i faktycznej poczytności konkretnych utworów. Zanim jednak szerzej rzecz poprowadzę — dwa wyjaśnienia.

Oczywiście przedmiotem postępowania badawczego mogą być w równym stopniu hierarchia wyobrażeń jak i rzeczywistość poczytność. Z tego, iż tę drugą dziedzinę opatrzyliśmy przymiotnikiem „faktyczna”, nie wynika, że jest to ważniejsza dziedzina badań. Ważność zależy przecież od tego, czego chcemy się dowiedzieć.

W polemice z autorem szkicu *Romantyczna nobilitacja powieści* występuję nie tyle jako opozycjonista, co jako kontynuator. To Wyka pierwszy podjął u nas po wojnie omawianą problematykę, w pewnym sensie on ją stworzył. A jest czymś dla nauki normalnym, że po bez mała ćwierćwieczu w danej sferze badań próbuje się dokonać weryfikacji i uściśleń. Wprawdzie stopień kumulatywności wiedzy o literaturze jest ograniczony (w porównaniu np. z naukami przyrodniczymi), niemniej nonsensem byłoby twierdzić, że przemiany w nauce o literaturze nie mają nic wspólnego z gromadzeniem zasobu wiedzy.

Wróćmy do *meritum*. Pojęcie „gatunek” — niezależnie od tego, jak je rozumiemy — pełnić może dwie funkcje. Bywa narzędziem kategoryzacji rzeczywistości literackiej. Bywa też elementem jej świadomej, celowej hierarchizacji. *Poetyka* Arystotelesa prezentuje oba typy operacji intelektualnych. Oczywiście już w samej kategoryzacji tkwi element wartościowania. W dziejach powieści toczyła się wszak skomplikowana walka o uznanie, iż może być ona w ogóle rozpatrywana jako podrzędny choćby — ale jednak gatunek. W poetyce klasycystycznej, z jej względnie sztywną hierarchią wartości, samo uznanie, iż powieść matyce tej poświęcił autor m. in. książkę *Pokolenie literackie*. Miała ona być drukowana w „Bibliotece »Pamiętnika Literackiego«”. Jedyny egzemplarz maszynopisu, który we wrześniu 1939 znajdował się u prof. J. Krzyżanowskiego, spłonął w czasie oblężenia Warszawy.

stanowi gatunek, byłoby już pewną nobilitacją. Jak wiadomo, poetyka klasycystyczna na owo uznanie nie mogła się nigdy zdobyć inaczej niż półgębkiem³.

Nobilitacja, rzecz jasna, jest posługiwaniem się pojęciem „gatunek” w taki sposób, jaki bez wahania zaliczymy do hierarchizacji. Nobilitować można przede wszystkim — choć nie wyłącznie — nowe rodzaje twórczości. Wydaje się, iż nobilitacja dokonuje się „raz na zawsze”. Człowiek, który napisałby dziś tragedię w pięciu aktach wierszem, zostałby może uznany za dziwaka, nie musiałby się jednak tłumaczyć z tego, że napisał nie wiadomo co.

Na czym jednak polega nobilitacja gatunku literackiego? Nobilitacja na ogół jest rozumiana jako pewien zespół zachowań się ludzi wysoko postawionych w hierarchii prestiżu społecznego właściwego danej kulturze, w szczególności ludzi, których sądy o literaturze i kulturze są wysoko cenione. W przypadku powieści w dobie romantyzmu może chodzić o zachowania się względem powieści: filozofów, uznanych poetów, profesorów wyższych uczelni, ewentualnie szanowanych polityków i ideologów. Same zaś zachowania się nobilitacyjne można by chyba sprowadzić do tego, że ludzie ci będą:

— publicznie przyznawać się do czytania powieści „jako takich”, uważając tę czynność za co najmniej naturalną, jeśli nie obowiązkową dla kulturalnego człowieka⁴;

— rozważać osobliwości powieści jako gatunku równego innym albo nawet lepszemu;

— sami uprawiać twórczość powieściową, i to nie pokątnie, dla kaprysu, lecz jako równoprawną część swego dorobku.

Ostatecznym zaś wyrazem nobilitacji będzie wprowadzenie utworów danego gatunku do programu szkolnego⁵.

Jeżeli przełożyć nobilitację powieści na język tych zachowań, to Wyka ma niewątpliwie rację stwierdzając, że proces ten dokonywał się w dobie romantyzmu. Tak działo się w Anglii, we Francji, w Niemczech, a prawdopodobnie i w Rosji. Związek nobilitacji powieści z romantyzmem może być bezpośredni. Ma to miejsce wówczas, gdy nobilitacji dokonują sami romantycy, jak w Niemczech. Może też być nobilitacja ta związana z romantyzmem w sposób pośredni. Dzieje się tak wtedy, gdy nobilitacji dokonują ludzie, którzy nie będąc romantykami, w jakiś sposób mają za sobą doświadczenia preromantyzmu i romantyzmu. Tak, wydaje się, było w Rosji. Tym romantycznym doświadczeniem, które stanowi warunek nieodzowny, choć nie wystarczający dla nobilitacji powieści, jest złamanie klasycznej koncepcji gatunku literackiego, m. in. uznanie, iż pomieszanie różnych

³ Zob. np. S. Etienne, *Le Genre romanesque en France depuis l'apparition de la „Nouvelle Héloïse” jusqu'aux approches de la Révolution*. Paris 1922. — J. R. Forster, *History of Pre-Romantic Novel in England*. New York 1949. — G. May, *Le Dilemme de roman au XVIII^e siècle. Étude sur les rapports du roman et de la critique*. Paris 1963. — Z opracowań polskich wydanych w ostatnich latach wymienić należy przede wszystkim S. Burkota *Spory o powieść w polskiej krytyce literackiej XIX wieku* (Wrocław 1968).

⁴ Jest to istotne zastrzeżenie. Np. Krasicki (*O romansach*. W: *Dzieła*. T. 7. Wilno 1819) — a nie był on w tym odosobniony — nie szanował romansu „jako takiego”, choć przyznawał, iż „do romansów obyczajnych sprawiedliwie należą: francuski Idziego Blassa, dziekana z Keleryny i inne w małej nader liczbie”.

⁵ Nastąpić to może z ogromnym opóźnieniem. Film, który jako rodzaj sztuki nobilitowany jest od lat bez mała czterdziestu, wciąż pozostaje nie objęty programem szkoły.

stylów jest wartością nacechowaną dodatnio. W studium swym Wyka mówi o tym niejednokrotnie, trafnie podnosząc, iż rodowód tej hierarchii gatunków, w ramach której dokonana się nobilitacja powieści, jest romantyczny (s. 172). Badacz podkreśla również, co wydaje się szczególnie ważne, że doświadczenia powieści współtworzyły poetykę romantyzmu. Powód, dla jakiego elementy preromantyczne do literatury wносиła głównie powieść, wyjaśnia Wyka tak: „powieść nie była przewidziana w poetyce normatywnej pseudoklasyków i wobec tego posiadała swobodę w doborze motywów nieprawomyślnych ze stanowiska pseudoklasycyzmu” (s. 154).

Dopóki zatem mowa o romantyzmie jako nieodzownym warunku nobilitacji powieści, tezy Wyki uderzają swoją trafnością. Ale — jak sędzę — jest to warunek niewystarczający. I w tym punkcie propozycje Wyki wydają się podważalne.

„Czas pełnego rozkwitu powieści romantycznej przypada u nas [...] na drugie pokolenie romantyków” (s. 160). I nieco dalej: „W literaturze krajowej po roku 1840 powieść staje się gatunkiem tak przodującym, jak jest nim dzisiaj. Staje się błyskawicznie, na przestrzeni kilku lat, i co najważniejsze — za zupełną zgodą ówczesnej krytyki i publiczności. Michał Grabowski, Kraszewski, Cieszkowski, Ziemięcka, Szyrmer, Marcinkowski, Leszek Dunin-Borkowski i wielu innych krytyków chętnie przyświadczało temu zwycięstwu powieści. Ciekawe, że znaczenie powieści najlepiej rozumiał i wcale się nim nie gorszył filozof Cieszkowski [...]” (s. 161).

Wydaje się, że opis sytuacji podany przez Wykę dotyczy *de facto* trzech różnych zjawisk: rozwoju gatunku, jego popularności, jego nobilitowania przez krytykę.

Pomińmy sprawę rozwoju gatunku, bo choć stanowi on materialną podstawę zarówno poczytności jak i nobilitacji, nie należy jednak ściśle do tematu rozważań.

A jak to jest z poczytnością?

Jeśli przypatrzymy się kolejom powieści (od poczytności, poprzez uznanie, tj. pogodzenie się z jej istnieniem, do nobilitacji) w Anglii, Francji, Niemczech i Rosji — stwierdzimy, że w każdym z tych krajów pewnemu etapowi poczytności gatunku towarzyszy niebывały sukces jednego lub kilku utworów. *Pamela*, *Tom Jones*, powieści Goldsmitha, *Cierpienia młodego Wertera*, *Martwe dusze* (a może wcześniej *Biedna Liza* Karamzina). Wolno przypuszczać, iż wymienione utwory niebывałe swe powodzenie zawdzięczały temu, iż na swój sposób formułowały i zarazem określały doświadczenia i potrzeby nader poważnej części czytelników w tych społeczeństwach.

Czy znaczy to, że w każdym kraju sukces tego typu, jaki był udziałem *Cierpień młodego Wertera*, musi poprzedzać nobilitację gatunku powieściowego? Oczywiście przykłady, które tu podałem, nie pozwalają mówić o żadnym musie. Tak było w czterech przypadkach, a gdyby nawet podać, że podobnie rzecz miała się w jeszcze czterech krajach, żadnej reguły na tym oprzeć nie można by było. Jednak z pewnością sukces taki znacznie ułatwia proces nobilitacji. Jest zaś chyba faktem, iż żadna z powieści Kraszewskiego, Szyrmera, Dzierzkowskiego, nie wyłaczając najlepszego chyba utworu tamtych czasów — *Poganki*, nie była sukcesem dającym się porównać do tego, co działo się wokół *Pameli* czy *Nowej Heloizy*. Powtarzam: nonsensem byłoby twierdzić, iż istnieje prawo, według którego wielki sukces czytelniczy musi poprzedzić nobilitację powieści; zapewne jednak brak takiego sukcesu utrudnia ją.

Wyka oczywiście ma rację pisząc, iż krytyka krajowa doceniała powieść, słusznie też stwierdza, iż najciekawszą pozycją poświęconą powieści jest artykuł Cieszkowskiego. Ale... Ale Cieszkowski nie nobilituje polskiej powieści. Ceni z naszej literatury *Pana Podstolica* Massalskiego, a i temu utworowi wiele ma do za-

rzucenia. Pisze swój artykuł m. in. po to, by „naszych wschodzących powieściopisarzy powabić”⁶. Wierzy w przyszłość polskiej powieści, bynajmniej nie zachwyca się teraźniejszością, z przeszłości ceni jedynie *Pana Podstolego*, głównie zresztą „dla owej światłej poczciwości i rodzimego doświadczenia”⁷.

W swoim szkicu Wyka cytuje opublikowany w 1842 r. przez „Bibliotekę Warszawską” artykuł E. S. O *romansie, jego przekształceniu, rozpostarciu się i wpływie na społeczeństwo*. Cytuje fragment, w którym mówi się o pograniczności romansu, o tym, iż jest on „hermafrodytem w literaturze” (s. 163). Cieszkowski kładzie nacisk na ową poetycką i gatunkową pograniczność: „Jest przecież pewien rodzaj [...] tworów, który w obecnej chwili wzbił się nad wszelkie inne, rodzaj z natury mieszany, a więc dziwnie odpowiedni charakterowi czasu. Rodzaj ten stał się dzisiaj właściwym organem poezji niemal wszystkich ludów, on dziś największy wpływ na masy wywiera, on dziś rej wodzi w literaturze. Jest to romans”⁸. Cieszkowski więc w odróżnieniu od autora artykułu *O romansie, jego przekształceniu* [...], hybrydyczność nowego gatunku ocenia dodatnio, widzi w niej nie tylko znak ducha czasów, lecz i źródło przewag artystycznych.

A jednak wydaje się, że mimo wszystkie trafne uwagi o powieści, jakie znaleźć można w prasie krajowej, do romantycznej nobilitacji gatunku w Polsce nie doszło.

Wspominałem, iż nobilitacji dokonują ludzie cieszący się najwyższym — w danej kulturze — autorytetem, najwyżej postawieni w hierarchii prestiżu społecznego. W roku 1845 czy 1852 ludzie ci znajdowali się na emigracji. Autorytet wielkiej poezji romantycznej — mimo pewien antagonizm między krajem a Emigracją — był tak wielki, iż w owym czasie nobilitować powieść mógł tylko Mickiewicz, a co najmniej Słowacki z Goszczyńskim. Szczególnie w sytuacji, w której powieść krajowa nie miała na swym koncie wielkiego narodowego sukcesu czytelniczego.

Można zastanawiać się nad tym, dlaczego Goethe czy Victor Hugo chcieli brać udział w „akcie” nadania szlachectwa nuworyszowi literatury, a Mickiewicz nie chciał. Wątpliwe jednak, byśmy uzyskali odpowiedź będącą czymś więcej niż w miarę poprawnie zbudowaną hipotezą. Kto wie zresztą, czy bardziej płodna dla tej problematyki nie byłaby analiza stanowiska Norwida. Wszak należał on do tego pokolenia, które w kraju uprawiało twórczość powieściową i sam — marginalnie — zajmował się nowelistiką. Czytelnika-niespecjalistę przy lekturze wierszy *Powieść* (Gomulicki datuje powstanie wiersza na lata 1857—1865) i *Przepis na powieść warszawską* (1879!) uderza, iż obiektem ironii poety są nie tyle możliwości gatunku powieściowego w ogóle, co konkretne cechy utworów pisanych w kraju przez rówieśników poety. Dla Norwida kamieniem obrazu jest miałkość powieści krajowej, jej arcy powierzchowna polskość. Pamiętać jednak warto, że z podobnych w końcu względów w *Panu Tadeuszu* raziło poetę to, co Słowacki nazwał „wieprzowatością” poematu.

Ciekawe, że jedną cechę gatunkową dostrzegali i Cieszkowski, i Norwid, odmiennie ją jednak wartościując. Cieszkowski mówi o epopei „zamienionej na drobne” i doda, iż owe „*disiecta membra poetae* stanowią powszednią i jedynie

⁶ A. Cieszkowski, *O romansie nowoczesnym*. „Biblioteka Warszawska” 1846, t. 1, s. 153. Artykuł opatrzony przez Cieszkowskiego datą 1845.

⁷ *Ibidem*, s. 158.

⁸ *Ibidem*, s. 136. Hybrydyczność powieści fascynuje i dzisiejszych badaczy. Przykładem nader ciekawe studium M. M. Bachtina *Epos a powieść. (O metodologii badania powieści)*. Tłumaczenie polskie mieści się w „Pamiętniku Literackim” 1970, z. 3.

możną dziś epopeję społecznego życia"⁹. Norwid napisze: „Końca takowej nie ma odysei” (*Powieść*). Poeta, który posługiwał się spacją i wersalikiem w sposób przywodzący na myśl zabiegi magiczne, tu całą pogardę dla epopei na drobne zamienionej wyrazi pisząc „odyseja” małą literą.

Pozostaje pytanie, czy wolno zasadnie ewentualną analizę stanowiska Norwida ekstrapolować na stosunek wszystkich poetów emigracyjnych do powieści. Dać odpowiedź mogą jedynie szczegółowe badania, podjęte ostatnio — o ile mi wiadomo — przez Michała Głowińskiego.

Wróćmy zatem do *meritum* tej kontynuacji-polemiki. Propozycje Wyki — sprzed lat bez mała dwudziestu pięciu — są niewątpliwie prekursorskie wobec przyszłych badań nad problemem nobilitacji powieści w Polsce. A zbadać trzeba jeszcze niejedną kwestię. Ot, chociażby sprawa pozornie czysto terminologiczna: kiedy ostatecznie znikną „romansy”, a zwyciężyła „powieść”? „Romans” od początku nacechowany był negatywnie. W drugim zdaniu słynnej *Pochwały Richardsona* Diderot pisał, że dla utworów Richardsona należałoby znaleźć inną nazwę niż „roman”. W języku francuskim „roman”, mimo iż usiłowano go zastąpić przez „l'histoire” lub „chronique” (i to jeszcze Prosper Merimée), ostał się. W polskim „romans” nie wydobyl się po dziś dzień, i już się zapewne nie wydobędzie z wagonowo-kuchennej otchłani pogardy. Walter Scott mógł pisywać „romanse”, ale *Pan Tadeusz* jest jednak „historią szlachecką”, a nie „szlacheckim romanssem”. Skoro więc sama terminologia stanowi nie napoczętą dziedzinę badań^{9a} — to cóż mówić o innych.

Wróćmy jednak do prekursorstwa Wyki. Słuszna wydaje się teza wyjściowa, którą sformułować można by w ten sposób: w dziejach literatury europejskiej tak się rzecz miała, iż warunkiem nieodzownym nobilitacji gatunku powieściowego była estetyka romantyczna, a może szerzej — romantyczna wizja świata¹⁰. Był to warunek nieodzowny, lecz niewystarczający. Dowodem dzieje owej nobilitacji gatunku w Polsce.

Sądzę, iż — wbrew tezie Wyki — w Polsce nie miał miejsca proces, który można by określić mianem „romantycznej nobilitacji powieści”. Wprawdzie pisarze i krytycy krajowi, mający za sobą doświadczenia romantyzmu, uprawiali prozę powieściową i refleksję nad powieścią, jednakże: ludzie cieszący się największym autorytetem w sprawach kultury narodowej — pisarze emigracyjni — nie mieli zrozumienia dla polskiej powieści czy nawet i dla gatunku jako takiego; dorobek powieści krajowej, jakkolwiek liczny i ważny w skali codzienności kulturalnej kraju podbitego, nie zawierał ani jednej pozycji, która przez wielki sukces czytelniczy mogła w y m u s i ć nobilitację gatunku.

⁹ Cieszkowski, *op. cit.*, s. 139.

^{9a} Wyjątek stanowi tu artykuł A. Bartoszewicz *Z dziejów polskiej terminologii literackiej pierwszej połowy XIX wieku* („Pamiętnik Literacki” 1963, z. 3).

¹⁰ W świadomości społecznej proces nobilitacji utożsamiał się z rzeczywistą historią gatunku (a są to dwie różne sprawy), przeto nawet większość badaczy ma taką optykę gatunku, jak gdyby powieść zaczęła istnieć od momentu owej romantycznej nobilitacji. Jest to przyczyną niedoceniania doświadczeń i zdobyczy powieści XVIII-wiecznej. Wzorem rosyjskich formalistów czyni się wyjątek dla *Tristrama Shandy*. Przydatność takiego postępowania wydaje się nader ograniczona, m. in. dlatego, że „uwyjątkowanie” powieści Sterne’a prowadzi do zerwania związków łączących ją z kulturą XVIII wieku. Wskazywał to, na przykładzie analizy pojęcia czasu u Sterne’a, K. E. Harper w artykule *A Russian Critic and „Tristram Shandy”* („Modern Philology” 1954, nr 2).

Można też tezę powyższą sformułować powściągliwiej. Mniej więcej tak, że z uwagi na wspomniane przed chwilą okoliczności, a także z uwagi na to, że w krajach, z którymi Polska od wieków związana była kulturalnie (przede wszystkim we Francji), nobilitacja powieści już się dokonała — ten sam proces w kraju przebiegał w postaci „ukrytej”. Przemawiałaby za takim ujęciem kwestii fakt, że mimo braku „głośnej” nobilitacji pozytywiści niejako przyszedli na gotowe i o szacunek dla gatunku zbyt natarczywie nie musieli się dopominać. Przebiegałby zatem ten proces w pewnym sensie odwrotnie niż np. we Francji. Tam pisarze romantyczni, którzy nobilitowali powieść „głośno”, mieli do czynienia z gatunkiem o dziejach ponad stuletnich, jeśli liczyć od Scarrona, a stuletnich — licząc od Le Sage'a. W Polsce najpierw dokonała się „ukryta” nobilitacja, a potem doszli do głosu pozytywiści, pierwsze pokolenie pisarzy, które ukazało możliwości gatunku daleko wykraczające poza „rodzimą poczciwość”¹¹.

3

Czas powieściowy — szkic urwany w którymś tam miejscu, lecz na znaczącej dacie 31 lipca 1944. W całości — mimo bowiem, iż *Czas powieściowy* nie został ukończony, tekst ten stanowi już całość — studium Wyki ukazuje się po raz pierwszy. Fragmenty drukowane były w latach czterdziestych w „Myśli Współczesnej” i w księdze pamiątkowej *Inter arma*. Otóż miarą tego, do jakiego stopnia Wyka pisząc swój szkic trafiał w sedno współczesnej wiedzy o literaturze, jest fakt, iż zasadniczy zrab jego propozycji, mimo wszelkie niesprzyjające warunki, wszedł trwale do krwiobiegu naszej teorii literatury. Studenci polonistyki czy młodzi krytycy mówią o „czasie zdarzeń” lub „czasie środowiska”, uważając tę aparaturę pojęciową za naturalną, często nie zdając sobie sprawy ani z tego, że nie istniała ona przed trzydziestu laty, ani z tego, kto ją powołał do życia. Większego triumfu badacz literatury spodziewać się nie może.

Recenzja niniejsza pisana jest w roku sześćdziesiątych urodzin Kazimierza Wyki. Zastrzegam się, iż nie chciałem na marginesie tomu *O potrzebie historii literatury* konstruować osobowości autora, a już szczególnie nie chciałem konstruować jubileuszowej osobowości autora. Chciałbym natomiast w związku ze szkicem *Czas powieściowy* zwrócić uwagę na pewne aspekty losu pokolenia naszych Nauczycieli, pokolenia, do którego należy Wyka. Pokolenia, które jak przez mgłę pamięta czasy, kiedy nie było Polski, pokolenia, które świetnie pamięta, iż kiedyś tam nie było radia, a potem były kryształkowe detektory, pokolenia, dla którego istnienie filmu i kina było zawsze czymś naturalnym.

Przedtem jednak wróćmy do sprawy, od jakiej część recenzji poświęconą *Czasowi powieściowemu* zacząłem. Jest to jeden z najświetniejszych tekstów napisanych przez Wykę. A to niemało, zważywszy „wysoką przeciętną” jakości dorobku autora *Lowów na kryteria* i *Pogranicza powieści*. Podziwu godzien jest ten esej, pi-

¹¹ Wolno oczywiście zadać pytanie, czy olśniewających możliwości gatunku nie pokazał już *Rękopis znaleziony w Saragossie*. Jeślibyśmy mieli jednoznacznie zaliczyć to dzieło do historii literatury polskiej, wówczas musielibyśmy konsekwentnie uznać, iż na początku XIX w. język francuski pełnił w naszej kulturze narodowej funkcje analogiczne do tych, które w średniowieczu pełniła łacina, że francuszczyzna była równoprawnym sposobem ekspresji kultury narodowej. Wydaje się jednak, że założenie takie byłoby fałszywe. Jest arcydzieło Potockiego raczej jednym z ostatnich płodów ducha ginącej już, kosmopolitycznej (w czysto opisowym sensie tego słowa), „*république des lettres*”.

sany — jeśli wolno się tak wyrazić — w piekle na wilegiaturze. W pełni ujawniła się w nim ta cecha pisarstwa Wyki, którą nazwałbym wycuciem, intuicją krytyka, a najlepiej chyba: absolutnym słuchem literackim. Uniwersytecka historia i teoria literatury od czasów pozytywizmu — niezależnie od wszystkich ewolucji i rewolucji naukowych — zdominowana przez problem metody, często funkcjonuje w oparciu o wiarę, iż w badaniu literatury można się nauczyć w s z y s t k i e g o, wszystko jest bowiem, zgodnie z ową wiarą, kwestią techniki lub ideologii. Sądzę, że przy pozorach naukowości jest to wiara nader naiwna. Niezależnie od różnic metodologicznych Leo Spitzer „słyszał” literaturę lepiej, niż „słyszy” ją np. Roland Barthes; Tarnowski lepiej niż Chmielowski... Wydaje mi się, że dziś w Polsce nikt nie „słyszy” literatury lepiej niż Wyka, a tylko niewielu tak jak on. To właśnie pasja metodologiczna połączona z „absolutnym słuchem” pozwoliły Wyce napisać *Czas powieściowy*, studium, które uczyło, uczy i zapewne będzie uczyło myśleć i pisać o tej problematyce.

Nie o to mi chodzi, by zgadzać się z każdym sądem Wyki. Takich tekstów w humanistyce nie ma. A raczej nie powinno być. Gdy bowiem humaniści przyjmują, iż istnieje tekst-*credo* — humanistyka umiera. Można by więc pospierać się z autorem *Czasu powieściowego*, co nie byłoby trudne, zważywszy, że każdy student ma dziś łatwiejszy dostęp do literatury przedmiotu niż autor w czasach, gdy swoje studium pisał. No i zapewne sam on to i owo napisałby dziś inaczej. Dla przykładu pytanie: czy gdyby pisząc swoją rozprawę Wyka znał opowiadanie Akutagawy, którego polski tytuł mógłby chyba brzmieć *W haszczach* (co teoretycznie było możliwe, lecz praktycznie nieprawdopodobne), lub oparty na tym utworze film Kurosawy *Wrota Rashomon* (co było niemożliwe) — otóż czy gdyby Wyka znał jedno z tych dzieł, to czy nie poczyniłby ograniczeń dla twierdzenia, iż „konstrukcja odwijanego wstecz kłębka wydarzeń daje się tylko jeden raz zastosować w obrębie danej formy narracyjnej” (s. 87)¹². Jednakże z punktu widzenia, który nas tu interesuje, pytania tego typu nie są ważne.

Chciałbym natomiast zwrócić uwagę na pewną cechę studium *Czas powieściowy*, która jest wyrazem wartościowej i płodnej postawy kulturowej. Wyka mianowicie nie zastanawia się nad tym, czy jest Europejczykiem, nie dowodzi swojej europejskości — po prostu jest w Europie. W sposób naturalny funkcjonuje w kulturze, której znakami są Conrad, Mann, Joyce, Dostojewski. *Granicę* lub *Zazdrość i medycynę* włącza do swoich analiz również w sposób naturalny, nie sugerując przy okazji czytelnikowi ani jakiejś szczególnej dumy z samego faktu istnienia *Granicę*, ani tym bardziej nie usiłując go leczyć z jakichś niższości. Postawa ta, mimo iż — zdawałoby się — oczywista, nie jest bynajmniej powszechna. W dziedzinie nauki o literaturze nie brak autorów sprawiających wrażenie, iż nie tylko innym, lecz sobie samym usiłują dowodzić owego bycia Polski w Europie, głównie przez odwoływanie się do martyrologii narodowej. Jest to zaiste zajęcie dziwaczne. Po pierwsze, nie zachodzi potrzeba dowodzenia spraw bezspornych — zwykle dowodzi się takich, co do których nie ma pewności, a gorliwie dowodzi się tego, w co się po

¹² Nie suponuję, że wspomniane przykłady są jedynymi podważającymi powszechną stosowalność tezy Wyki. Akutagawa, a w ślad za nim Kurosawa ograniczają zakres stosowalności tej tezy w sposób szczególnie ostry, ponieważ z a s a d n i c z y m chwytem narracyjnym jest dla nich kilkakrotne odwijanie wstecz kłębka zdarzeń. Narracja żony samuraja, bandyty, drwala, ducha samuraja — za każdym razem odnosi się do tych samych wypadków.

cichu samemu wątpi. Po drugie, zajęcie to nie ma nic wspólnego z nauką o literaturze. Po trzecie zaś, gdyby naszą kartą wstępu do kultury europejskiej (a nie uważam, byśmy takowej potrzebowali) miała być ilość ofiar i męczenników, to — konsekwentnie rozumując — winniśmy wdzięczność wszystkim naszym opresorom.

Otóż Wyce całkowicie obca jest ta postawa. Wyka, powtarzam, „jest w Europie” w sposób najzupełniej naturalny dla siebie i innych, tzn. w jedyny możliwy sposób. Ujawnia się to nie tylko w rozprawie, o której mowa¹³. Zważywszy jednak, że *Czas powieściowy* pisany był w latach wojny i okupacji, a więc w warunkach stymulujących ksenofobię i kompleksy niższości, otwarta postawa Wyki jawi się szczególnie wyraziście.

A los pokolenia potwierdzony w kolejach pracy naukowej Kazimierza Wyki? Kiedy mówi się u nas o tragicznym pokoleniu, ma się na myśli roczniki 1919—1924, tych, co „to do lasu, to do gazu, a na spacer ani razu”. Nie wiem, czy słowo „tragiczne” — jakże często nadużywane — pasuje do pokolenia tych uczonych, którzy w r. 1939 mieli, jak Wyka, prawie trzydzieści lat. W humanistyce jest to wiek, w którym dopiero zaczyna się samodzielna praca. Wyce właśnie wydrukowano *Modernizm polski...* Gdyby więc przyjrzeć się losom tego pokolenia, pokolenia naszych Nauczycieli, losom młodych ludzi, którzy mieli za sobą jedną podróż za granicę, jedną książkę (często właśnie na ukończeniu), jedno samodzielne odkrycie, jeden własny pomysł...

Myślę, że jako przedmiot refleksji socjologicznej, filozoficznej, literackiej wreszcie — los tego pokolenia uczonych jest co najmniej równie fascynujący jak los rocznika 1920.

Roman Zimand

PRZEGLĄD PRAC O GROTESCE W LITERATURZE

Groteska nie jest z pewnością jasno określoną i zdefiniowaną kategorią. Zachodzi nawet obawa, że nie da się nigdy zdefiniować w sposób nie budzący wątpliwości. Kłopoty z określeniem groteski są poniekąd analogiczne do tych, które napotykaamy próbując opisać realizm jako kategorię estetyczną. Zresztą sprawa relacji między groteską a realizmem czy *mimesis* to jeden z najciekawszych i najtrudniejszych problemów, jakie stają przed badaczem groteski.

Groteska stała się przedmiotem zainteresowania twórców teorii estetycznych i badaczy około połowy XVIII wieku. Pełną nobilitację groteski w sztuce przyniósł dopiero romantyzm. Samo słowo narodziło się we Włoszech w końcu XV lub w pierwszych latach XVI w., a problem jest znacznie starszy; niewątpliwie obejmuje literaturę i sztukę antyczną, przy czym rośnie ilość badaczy utrzymujących, zapewne słusznie, że groteska jest równie stara jak rodzaj ludzki. Uświadomienie sobie wagi problemu przez naukę oraz odwoływanie się wielu współczesnych pisarzy do groteski jako najważniejszego czy wręcz jedyne go sposobu wypowiedzi artystycznej spowodowało renesans zainteresowań teorią groteski. Celem niniejszego przeglądu kilku publikacji poświęconych temu zagadnieniu jest właśnie zaprezentowanie wysiłku teoretycznego badaczy groteski. Problematyka historycznoliteracka znajdzie tu miejsce tylko wtedy, gdy okaże się niezbędna do zrozumienia wywodów danego autora.

¹³ Znamienne dla stanowiska Wyki w tej sprawie jest zakończenie pisanego w 1948 r. studium o Dunikowskim: *W lesie rzeźb*. W: *Szkice literackie i artystyczne*. T. 2. Kraków 1956, s. 243.